

Między pragmatyzmem a nihilizmem [FELIETON]

Pamięć zbiorowa jest kapryśna, nie jest wcale spójna ani logiczna. Potrafi ulegać nagłym zwrotom, zaskakującym przeobrażeniom. Kierunek, który obiera jest często także wynikiem całkiem świadomych interwencji. Dlatego sprofesjonalizowana prawica polska, która chciałaby się zajmować już tylko innowacyjnością w gospodarce, może się jeszcze bardzo zdziwić – przeczytaj kolejny felieton Marka A. Cichockiego z cyklu „Polski sposób bycia”.

Oglądając w internecie jak nasze drugie pokolenie upragnionej wolności skanduje uszczęśliwione „Urban! Urban!”, na jednym ze organizowanych przez Jerzego Urbana sabatów, pomyślałem, że nie jest wcale prawdą, iż pytanie o komunistyczną spuściznę i o PRL rozwiązało się samo w sposób ostateczny. Z tym pytaniem trzeba się będzie znów zmierzyć, i to być może w całkiem nieodległej już przyszłości. Wiem, tak, Michnik skończył właśnie 73 lata, a sympatycznego Kwaśniewskiego bardziej kojarzą wszyscy z Billem Clintonem czy Tonym Blairem niż z Wojciechem Jaruzelskim czy Czesławem Kiszczakiem. Wielu naszych prawicowych politologów ogłosiło także już dawno, że rozliczenia z komunizmem przestały być podstawowym podziałem politycznym w Polsce, że najpierw zastąpił go podział bardziej doraźny, dotyczący skutków transformacji – podział na samolubny liberalizm i empatyczny solidaryzm, a teraz stawką stało to, kto zbuduje swoją klasę średnią, która stanie się nowym fundamentem stabilnej, elektorальной większości. Z tej perspektywy, sprofesjonalizowanej prawicy, która chciałaby się zajmować już tylko innowacyjnością w gospodarce, pytanie o komunizm i PRL wydaje się wręcz nie na miejscu.

A jednak patrząc na adorującą Urbana młodzież trudno do niego nie wracać. Czy ten potencjał dawnego PRL-owskiego komunizmu razem z całą tradycją pewnego szczególnego polskiego nihilizmu, która historycznie sięga jeszcze XVIII wieku, nie jest wart zastanowienia się

szczególnie teraz, kiedy w Polsce na dobre zaczyna rozpętać się nowa wojna kulturowa? Ta wojna będzie się toczyć na śmierć i życie, a jej stawką jest bez wątpienia przyszłość polskość – i sądzę, że ów potencjał, na razie ukryty jeszcze, zepchnięty na bok, będzie w tej wojnie odgrywał coraz większą rolę. Wiem również, że pamięć zbiorowa jest kapryśna, że nie jest wcale spójna ani logiczna, potrafi ulegać nagłym zwrotom, zaskakującym całkiem przeobrażeniami, i że kierunek, który obiera, jest często także wynikiem całkiem świadomych interwencji. I mam także świadomość, że polityka ma własną dialektykę, która sprawia, że bardzo często sukces prowadzi do zanegowania swoich własnych przesłanek. Sprofesjonalizowana prawica polska może się więc jeszcze bardzo zdziwić.

W podejściu II RP do polskiej ciągłości, które spychało Księstwo Warszawskie i Królestwo Polskie w niebyt, nie krył się wcale żaden sentymentalizm, żaden romantyzm. Było ono wyrazem najbardziej rozwiniętego politycznego pragmatyzmu

Nie przez przypadek po I wojnie światowej władze nowego polskiego państwa uznały, że jest ono przede wszystkim prawnym i historycznym spadkobiercą I Rzeczypospolitej. Ta decyzja przecinała wszelkie spekulacje, co do tego, gdzie leżą źródła II

Rzeczypospolitej. Jednocześnie też pozwalała ona rozwiązać problem, jak w sensie prawnym, politycznym, ale również pod względem tożsamości narodowej, należy traktować cały okres znajdujący się pomiędzy 1797 a 1918 rokiem. Kwestia nie była wcale prosta, bo przecież, jak właściwie należałoby traktować na przykład Księstwo Warszawskie, albo Królestwo Polskie do 1830 roku. W tym pierwszym przypadku wzbudzona m.in. przez Mickiewicza czy Hoene-Wrońskiego bezgraniczna miłość Polaków do Napoleona, kazała jeszcze w „Lalce” Prusa sentymentalnemu Rzeckiemu wierzyć, że Księstwo Warszawskie było jakimś naszym wielkim narodowym cudem. W rzeczywistości jednak tezy tej w żaden sposób obronić się nie da. Księstwo stanowiło geopolityczną konstrukcję w ramach napoleońskiego planu nowej Europy.

Z kolei Królestwo, które po 1830 roku zamieniło się w wojskową kolonię karną Iwana Paskiewicza, pociągało wielu nowoczesną w tamtych czasach ideą konstytucyjnej monarchii. Liberalni „Kaliszanie” czy sam Adam Czartoryski chcieli swoim rodakom wmówić, że właściwie jest ono polską wersją brytyjskiej monarchii konstytucyjnej tyle tylko, że z carem na tronie. Dla ludzi takich jak Mickiewicz, Mochnacki czy Gurowski wszystko to było jednak kamieniem obrazy, jakimś potwornym nabijaniem się z polskiego narodu, dlatego dążyli wszystkimi siłami do tego, by Królestwo zniszczyć, bo tylko na to, według nich zasługiwało. Decyzja władz II Rzeczypospolitej wszystkie te nierozwiązywalne interpretacyjne sploty przecinała. Zgodnie z nią, w sensie państwowym była tylko I i II Rzeczypospolita, ale też wszystko co pomiędzy nie było wcale żadnym zerwaniem, wręcz przeciwnie, było ciągłością polityczną narodu, która wyrażała się między innymi w walce, w wojsku polskim, w konspiracji, w instytucji dyktatora powstania, wreszcie w idei rządu i państwa podziemnego. I w tym podejściu do polskiej ciągłości, które spychało Księstwo Warszawskie i Królestwo Polskie w niebyt, nie krył się wcale żaden sentymentalizm, żaden romantyzm, ale było ono wyrazem najbardziej rozwiniętego politycznego pragmatyzmu.

My dzisiaj, po trzech dekadach, nie możemy już do tamtego przykładu politycznego pragmatyzmu nawiązać. Tym bardziej jednak musimy zdawać sobie sprawę z tego, że wróci do nas pytanie o spuściznę PRL-u. Raczej prędzej niż później przyniesie nam je z powrotem rzeczywistość. Lepiej, żebyśmy byli na ten moment przygotowani.

Marek A. Cichocki

Przeczytaj inne felietony Marka A. Cichockiego z cyklu „Polski sposób bycia”



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030



